Świat powieściowy.

Nr. 109 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VII.

Ładna aktorka, Paulina Régis, mieszkała przy ulicy Caumartin.

Paulina była utalentowana, a choć była bardzo młoda, już wszyscy jej przepowiadali, że niedługo przyjęta będzie do teatru komedji francuskiej.

Była już jak to mówią w modzie, i mimo tego, że jej wszystkie rozrywki łatwo przychodziły, nie zaniedbywała swojego talentu.

Paulina była ładną, dowcipną. miłą, ale dotąd nie wiele dawała mówić o sobie.

Wiedziano tylko o jednym stosunku serdecznym.

Kochała przez parę lat młodego szlachcica, dość bogatego, który się potem ożenił.

Markiz C. był młodzieńcem poważnym, wydawał tylko procenta nienaruszając kapitałów, kochał się w książkach, obrazach i posągach, posiadał piękny zbiór fajansów, i tak jak Paulina nie wiele dawał mówić o sobie.

Kochali się jak dwie turkawki. Jednakże markiz skończywszy lat trzydzieści, musiał zerwać ten stosunek. Winien to był swemu imieniu. Musiał się ożenić.

Ale rozłączając się z Pauliną, przeznaczył jej dwanaście tysięcy rocznego dochodu.

Paulina nie była jeszcze w tym wieku, w którym grzesznice nie mają nic więcej w sercu, jak odsetki od kapitałów.

Płakała bardzo biedaczka w dniu, w którym jej kochanek wyszedł z obrączką ślubną z kościoła świętej Klotyldy.

Przez sześć miesięcy, codziennie, o każdej godzinie, słysząc jakie kroki męzkie na wschodach, lub odgłos dzwonka w przedpokoju, zrywała się wzruszona mówiąc:
— To on!

Ale markiz był uczciwym człowiekiem.

Ożenił się z obowiązku, i sądził, że nie miał prawa odwidzać kochankę, którą może kochał jeszcze.

Paulina nie obaczyła więcej swojego kochanka i na końcu zrozumiała, że wszystko było na zawsze między nimi zerwane.

Z początku strasznie nad tem bolała, i zaczęła szukać rozrywek, aby zapomnieć.

Wszędzie ją widziano, bawiła się, podróżowała, i właśnie podczas tych podróży poznała Corinnę Destremont.

Corinna i Paulina poprzyjaźniły się.

Paulina, która powoli zapominała o swem strapieniu, była rozsądną i powiedziała sobie:

— Jestem artystką, nie chcę być kokotką. Nie chcę kochanka, który by mi kazał wystąpić z teatru, ani opiekuna, który by mię uważał za swego konia ulubionego.

Zarabiam osiem tysięcy franków, mam dwanaście tysięcy dochodu. Zatrzymam moje małe mieszkanie za dwa tysiące franków, trzymać będę tylko jednokonkę i będę czekać, pracując i wzrastając w sławie, na jakiego dobrego i poczciwego chłopaka, który mię pokocha i któremu będę wierną, bo taką jestem z natury i uczciwą z charakteru.

Pewnego dnia, na trzy tygodnie przedtem, pokazano jej w teatrze Manuela de Maugeville.

Stosunek, jaki istniał między Manuelem a Magdaleną Bertin, uczynił go prawie sławnym.

Był młody, piękny, dystyngowany i uchodził za bardzo rozsądnego. Pielęgnował biedną suchotnicę z poświęceniem cheroicznem, płakał po jej śmierci i może płakał jeszcze...

Manuel okazał się więc Paulinie Régis, jakby otoczony jakąś aureolą.

Dlatego też wzdychała, gdy w trzy tygodnie później Corinna Destremont mówiła jej o Manuelu i gdy Leon Villenave zawiązał pierwsze nici tej ohydnej intrygi.

Stan serca Pauliny, jej osamotnienie, życie nie zajęte, tłumaczyły ją, że z początku z taką łatwością dała się przekonać Corinnie.

Ale Paulina była w gruncie uczciwą.

Jeżeli tego wieczora przystała na to, aby obaczyć Manuela, jeżeli nie wystąpiła natychmiast energicznie przeciw temu spólnictwu moralnemu z Corinną zalotnicą i Leonem de Villenave rozpustnikiem wyrafinowanym, opamiętała się zaraz potem.

Corinna zaprowadziła ją do siebie, ucząc co ma robić.

Paulina słuchała nie sprzeciwiając się wcale, ale nie oddała jej biletu pana de Villenave.

Wróciwszy do siebie, zastała portret Magdaleny starannie zamknięty w skrzynce. Położyła się spać, ale nie zmrużyła oka przez noc całą.

Nazajutrz koło południa, zaledwie się ubrała, pokojowa oddała jej bilet Manuela.

— Proś tego pana do mego gabinetu — rzekła głosem pewnym.

Dzisiaj kobiety zmieniły buduar na gabinet toaletowy.

Bywa to zwykle pokój wielki i piękny, obity elegancką materją, której kolor stosują zwykle do barwy swych włosów.

Naokół porozstawiane meble, jasną materją obite.

Wiele eleganckich etażerek, tu i owdzie obraz sławnego malarza, na kominku zegar i kandelabry z saskiej porcelany. W kącie jaka komódka rzeźbiona, a na niej pełno porcelany Chińskiej i Sewrskiej. Na środku wspaniały dywan.

Między oknami stolik, na nim pełno szczoteczek z kości słoniowej, rozmaitej wielkości, grzebyków szylkretowych rozmaitego kształtu, piluiczek do paznokci, nożyczki, i t. p.

Naprzeciw elegancka toaleta z płytą marmurową, na niej masa przyborów toaletowych, zacząwszy od flakoników z rozmaitemi perfumami, a skończywszy na pudełkach z pudrem.

Nareszcie, na prawo i lewo na etażerkach, statuetki, bronzy, rozmaite pudełka na rękawiczki, pudełko z cygarami i cygaretami dla pań.

Tamto przyjmują swoich przyjaciół, zostawiając salon dłużnikom i liverantom.

W takim gabinecie przyjęła Paulina Rêgis, Manuela de Maugeville.

Poczciwa dziewczyna postanowiła zakończyć tę komedję. Nie chciała, chociaż serce krwawiło się jej może, należeć do spisku obydnego.

Gdyby pan Maugeville przyszedł do niej dobrowolnie, sam, bez innego powodu, jak tylko dla tego czaru, który zwykle młoda i piękna kobieta wywiera na każdym mężczyźnie, gdyby był ukląkł u nóg jej i rzekł: „Czy chcesz mię pokochać?“ objęła by pewnie głowę kędzierzawą Manuela i odpowiedziała pocałunkiem.

Ale Manuel przychodził do niej, złapany jakby w łapkę, i teraz go nie chciała, choćby był upadł do jej nóg.

Manuel czekał z dziesięć minut w tym eleganckim gabinecie.

Z przyjemnością przypatrywał się tym ozdobom szczegółowo.

Wszystko tam było eleganckie i skromne, i zdradzało kobietę dobrego gustu.

Przypomniała mu się znowu zmarła kochanka.

Bywa czasem dziwny zbieg okoliczności.

Paulina podobną była do Magdaleny, i pokój ten zupełnie przypominał Manuelowi mieszkanie ukochanej.

Gdy Paulina weszła, zastała Manuela siedzącego. Twarz zasłonił rękami i pogrążony był w niemem zamyśleniu.

Usłyszawszy, że ktoś drzwi otwiera, zerwał się, a widząc wchodzącą młodą kobietę, zmięszał się widocznie.

Paulinie gwałtownie serce uderzyło, ale ponieważ postanowienie jej było nieodzowne, a może też zresztą i nie ufała sama sobie, więc postanowiła od razu przystąpić do rzeczy.

— Kochany panie — rzekła do niego, podając mu na przywitanie maleńką swą rączkę, i wskazując miejsce koło siebie — sądziłam, że pan Leon de Villenave jest pańskim przyjacielem...

— Tak pani, jest nim — odpowiedział Manuel.

— Tak sądzisz pan?

— O! jestem pewny.

— Strzeż go się pan!

— Leon dał mi wiele dowodów przyjaźni.

— W takim razie — odrzekła zimno Paulina — powinien był dać panu jeszcze jeden dowód więcej.

— Jaki?

— Odesłać panu wprost ten portret Magdaleny, który jest jego własnością, i nigdy do mnie nie należał.

Usłyszawszy to pan de Maugeville zerwał się zdumiony.

Paulina mówiła dalej:

— Patrz pan... widzisz tę skrzynkę... w niej jest portret..

— Ależ pani...

— I czytaj pan ten bilet, poznasz zapewne pismo.

I podała panu de Maugeville bilet Leona de Villenave, podkreślając końcem paluszka post-scriptum.

Bilet wyleciał z rąk osłupiałego Manuela.

— A teraz wiesz pan dla czego — mówiła dalej Paulina — pan de Villenave tak pragnie, abym była twoją kochanką?

Manuel patrzył na nią wzrokiem błędnym.

— Ponieważ chce się ożenić z swą ciotką, baronową de Planche-Mibray — dokończyła Paulina.

Gdy artystka wymówiła to imię, pan de Maugeville poczerwieniał.

Serce ścisnęło się w piersiach Pauliny.

— Kocha ją — pomyślała.

I ścisnąwszy za rękę Manuela, rzekła:

— Ale ja jestem uczciwą, i dla tego tylko należałam do tego podłego spisku, aby pana uprzedzić.

Manuel spojrzał na Paulinę; była bardzo blada.

Pocałował ją w rękę, i szepnął głosem wzruszonym:

— Jesteś pani o tyle dobrą, jak piękną...

— Będę pańską przyjaciółką, jeżeli pan zechcesz — odrzekła.

Gdy pan de Maugeville odszedł, unosząc z sobą

przekonanie, że Leon de Villenave, podług dosadnego wyrazu Corinny Destremont był śmiałym łotrem, Paulina upadła na krzesło, twarz zakryła rękami i wybuchła głośnym płaczem.

VIII.

Pan de Villenave powrócił do domu koło północy.

Oddany cały swoim zamiarom, siostrzeniec nieboszczyka barona de Planche-Mibray, zapomniał zupełnie, że służący jego oddał mu bilet z tem dziwnem imieniem: Munito.

Zapomniał także i o tem, że człowiek ten powiedział, iż nie zastawszy go w domu, pójdzie może za nim do klubu.

Zresztą, nic nie interesowało p. de Villenave, z wyjątkiem rzeczy jednej, małżeństwa z baronową.

Temu celowi poświęcił wszystkie myśli, umysł i wolę.

A co nie powiedział Corinnie, to to, że umiał zawiązywać stosunki innego rodzaju.

W każdym większym domu znajdzie się zawsze jakaś służąca lub służący niewierny, którego łatwo przekupić.

Leon de Villenave zjednał sobie starego służącego, który pełnił służbę odźwiernego.

Człowiek ten donosił mu o wszystkiem, co się działo u baronowej.

Zwykle w nocy, gdy wszyscy spać się pokładli, stary odźwierny wykradał się i przychodził zdawać sprawozdanie panu de Villenave, albo do niego lub do klubu.

Tego wieczora, zaledwie pan de Villenave wrócił do domu, odźwierny się zjawił.

— Cóż tam nowego? — zapytał Leon.

— Pani baronowa odjeżdża.

— Odjeżdża! — krzyknął Leon zdziwiony.

— Tak.

— Gdzie jedzie?

— Do Planche-Mibray.

— Kiedy?

— Za dwa dni.

Ten nagły odjazd mięszał zupełnie plany pana de Villenave.

Zaczął nad tem rozmyślać po odprawieniu odźwiernego.

Pani de Planche-Mibray odjeżdżała!

Najpierw usuwała się od jego wpływu bezpośrednio.

Potem, jeżeli jak powiedziała Corinna, pan de Maugeville kochał już piękną wdowę, czy nie pojedzie z nią razem?

Czy będzie jeszcze czas, żeby wpadła w łapkę, którą jej zastawił?

Zresztą, przypuszczając, żeby został w Paryżu, i z nią nie pojechał, i gdyby Paulinie udało się złapać Manuela, jak baronowa odjedzie, nie będzie nic wiedziała o tym stosunku skandalicznym.

Pan de Villenave położył się spać bardzo niespokojny i spał mało.

Ale będąc nader przebiegłym, zaraz nazajutrz rano wynalazł sposób zaradzenia złemu. Najpierw powiedział sobie:

Jeżeli pani de Planche-Mibray pojedzie, Manuel najbardziej będąc zakochanym, nie będzie śmiał prędzej jak za jaki tydzień pojechać za nią.

A Paulina nie straci darmo tego tygodnia.

Jeżeli Manuel zostanie i Paulina potrafi go rozkochać, zawsze znajdę sposób aby baronowa dowiedziała się o tem.

Zresztą mamy rozmaite dzienniczki, które teraz zajmują się sprawami prywatnemi, jak dawniej zajmowały się polityką.

Będzie mi łatwo rozgłosić, że pewnego wieczora, między rozmaitemi osobami, w sali Vaudevillu, uważano Manuela de Maugeville z piękną Pauliną Régis.

Baronowa abonuje wiele dzienników, i niesposób, by takiej wzmianki nie zauważyła.

W tydzień później zrobię to, ze Manuel będzie miał pojedynek głośny przez Paulinę. Wszystkie gazety będą o nim mówić.

Pan de Villenave tworzył jeszcze rozmaite plany, gdy usłyszał dzwonek w przedpokoju.

Wkrótce potem lokaj przyniósł mu list.

Leon de Villenave drgnął, poznając pismo Munuela i z pewnem wzruszeniem rozłamał pieczątkę.

List był krótki, ale piorunujący.

„Panie — pisał młody człowiek do tego, którego długo nazywał swoim najlepszym przyjacielem — niegodna komedja z portretem, którą odegrałeś wczoraj wieczór, dostatecznie otwarła mi oczy. Sądzę, że uznasz za stosowne, abyśmy odtąd zostali zupełnie obcymi jeden dla drugiego.

Manuel de Maugeville.“

List wypadł z rąk panu de Villenave i krzyknął z wściekłością:

— Corinna zadrwiła sobie ze mnie, Corinna mię zdradziła!

I w szalonym gniewie chodził wielkimi krokami po pokoju, roztrącając meble, zawadzające mu na drodze.

Nagle przypomniał sobie o wekslu, który podpisał i pot wystąpił mu na czoło.

Za ten weksel Corinna mogła wysłać go do Clichy.

Ale to było niczem jeszcze.

Corinna, która bezwątpienia uprzedziła Manuela, czy nie uprzedziła także pani de Planche-Mibray?

W takim razie wszystko było na zawsze stracone!

Baronowa i tak mało miała sympatji do swego siostrzeńca, ale teraz czy nie będzie nim pogardzać?

Mężczyzna, którego kobieta nienawidzi, może mieć jeszcze nadzieję, ale ten, którym pogardza, nie podniesie się nigdy!

Wściekłość Leona de Villenave, zmieniła się wkrótce w ubezwładnienie i niemoc. Łzy trysnęły mu z oczów;

*

przysięgał sobie, że się pomści, że Corinnę zdepcze nogami.

W chwili największej jego rozpaczy i ubezwładnienia, nowe dzwonienie dało się słyszeć.

Służący jego, który słyszał cały ten hałas, wszedł przestraszony. Przynosił bilet podobny do tego, który pan jego odebrał wczoraj, a na którym było wypisane to dziwne imię: „Munito".

— Niech idzie do stu djabłów! — krzyknął pan de Villenave zmiąwszy bilet.

Służący poszedł, ale po chwili powrócił mówiąc:

— Człowiek ten koniecznie chce się widzieć z panem.

— Nie mam czasu.

— Utrzymuje on, że jeżeli pan go nie przyjmie, może żałować później.

Pan de Villenave zaczął się namyślać. W rozdrażnieniu, w jakiem się znajdował, jakiekolwiek bądź rozerwanie myśli było dobre.

— Niech wejdzie! — rzekł.

Służący wprowadził natręta.

Pan de Villenave miał czas się uspokoić, i przybrać twarz lodowatą, jaką miał zwykle.

Odzyskał nawet na tyle krew zimną, że się mógł przypatrzyć temu człowiekowi, podczas gdy przysuwał mu krzesło.

Ale człowiek ten nie usiadł. Stał trzymając kapelusz w ręku.

Był to mężczyzna wzrostu średniego, ruchliwy, silnie zbudowany, o cerze smagłej, prawie oliwkowej.

Można by go wziąć za mulata, gdyby nie rysy twarzy i włosy czarne i miękkie, które zdradzały raczej jeden z najpiękniejszych typów wschodnich.

Wzrok tego człowieka miał coś imponującego, co sprawiło dziwne wrażenie na panu de Villenave.

Ubiór jego nie był ani elegancki, ani powszechny. Nie był to pewnie człowiek światowy, ale też także nie mieszczanin paryski.

— Z kim mam przyjemność mówić? — zapytał pan de Villenave.

— Na bilecie masz pan moje imię — odpowiedział nieznajomy. — Nazywam się Munito.

— Czy to pan byłeś wczoraj?

— Tak panie.

— Miałeś podobno pójść za mną do klubu?

— W istocie, byłem tam nawet, ale nadaremnie, i dla tego dziś rano znowu tu przyszedłem.

— Utrzymujesz pan, że masz mi coś ważnego do powiedzenia?

— Może... to zależy...

— Wytłumacz się pan jaśniej.

— Jeżeli to, co mi powiedziano, jest prawdą, wówczas zrobię panu niektóre ważne odkrycia — mówił dalej nieznajomy.

— Cóż panu powiedziano?

— Najpierw, że jesteś pan siostrzeńcem barona de Planche-Mibray.

— Tak jest rzeczywiście.

— Potem, że nie jesteś pan nieczułym na wdzięki wdowy po nim...

— Czy to jest wszystko, co masz mi pan do powiedzenia? — zapytał pan de Villenave, któremu ta cała rozmowa wydała się co najmniej dziwaczną.

— Nie panie.

— W takim razie mów pan dalej.

— Powiedziano mi, że nienawidzisz pan Manuela de Maugeville.

— A! powiedziano panu i to?

— Tak.

— No, a gdyby tak było?...

— Gdyby tak było — odrzekł zimno nieznajomy — porozumielibyśmy się łatwo.

— Dlaczego?

— Ponieważ ja nienawidzę go może jeszcze więcej od pana!

Nieznajomy wymówił te słowa z takim wyrazem nienawiści, a oczy tak mu zabłysły, że pan de Villenave zapytał sam siebie, czy nie piekło samo zsyła mu pomocnika.

Jednakże jeszcze obawiał się zdradzić.

— A! pan go nienawidzisz?

— Z całej mej duszy! ze wszystkich sił moich! i prędzej lub później, muszę mieć krew jego!...

— Cóż dalej? — zapytał zimno Leon de Villenave.

— Panie — odrzekł ten dziki człowiek — czy chcesz abym mówił otwarcie?

— Właśnie tego żądam.

— Czy chcesz być mężem pani de Planche-Mibray?

— A gdybym powiedział że chcę?

— Pomógłbym panu.

— Z jakiego powodu?

— Bo nienawidzę Manuela de Maugeville.

— Ale dla czego go pan nienawidzisz?

Munito milczał chwilę. Przypatrywał się także panu de Villenave, pytając sam siebie, czy może z nim mówić otwarcie.

— Panie — odezwał się nareszcie — byłeś jeszcze wówczas bardzo młodym, ale musiałeś słyszeć, o czem mówiono w okolicy...

— W jakiej okolicy?

— W okolicy Auxerre. Musiałeś słyszeć, w jaki sposób umarł stryj Manuela de Maugeville?

— Gaston de Maugeville, przyjaciel mego wuja?

— Ten właśnie.

— Tak, słyszałem, że został zamordowany przez jakiegoś kuglarza...

— Którego żony był kochankiem.

— Może być.

— I kuglarz, który był w prawie zabicia go, wysłany został na galery.

— Wiem o tem.

— I jest tam dotąd.

— Czy może przypadkiem chciałbyś, abym się nim zajął?

— Nie o to mi chodzi. Chciałbym, abyś pan przeszkodził Manuelowi de Maugeville, by nie został mężem pani de Planche-Mibray.

— Ale... — mówił pan de Villenave — zupełnie nie rozumiem.

— A więc wytłumaczę się. Pani de Planche-Mibray nie może poślubić bratanka człowieka, który zniesławił kuglarza.

— Dlaczego?

— Więc pan nie wiesz?

— Ale cóż takiego?

— Pan nie wiesz, kto jest pani de Planche-Mibray.

— Wiem, że jest wdową po moim wuju.

— Tak, ale także córką kuglarza!

Słowa te jakby piorun raziły pana de Villenave. Spojrzał na Munita osłupiały...

— A któż pan jesteś? — zapytał.

— Ja — rzekł Munito — jestem tym małym kuglarzem, który uprzedził cygana, że żona go zdradza.

Rzekłszy to usiadł, a wpatrzywszy się swemi pałającemi oczami w pana de Villenave, rzekł:

— Teraz możemy pomówić...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Pan Stockford był w ogromnym kłopocie. Nawet długoletnie doświadczenie nie nastręczało mu żadnego środka do wyjścia z położenia, które groziło smutnem zakończeniem. Ledwie przybył do Londynu i usiadł przed biurem na Old bond street nr. 47 pierwsze piątro, gdy fatalne wiadomości o zięciu i córce, o mało nie pozbawiły go przytomności.

Jakkolwiek bowiem, był angielskim bankierem, w układ jego ciała wchodziło i serce — wprawdzie mocno wysuszone od palących promieni indyjskiego słońca, ale zawsze serce z krwi i mięsa, które też zabiło silniej na wiadomość o nieszczęściu jego jedynej córki.

Chciał spieszyć na ratunek biednej ofiary, był bowiem pewny, iż zdoła ją uniewinnić. Ale z jednej strony, nie pozwalały na to formy prawa angielskiego, z drugiej zaś groziło mu straszne dlań widmo w postaci Jonatana Endersa!

Przytem z powodu śmierci głównego wspólnika domu, potrzeba było przeprowadzać jak najspieszniej sprawę spadku po nim, w przeciwnym bowiem razie mogłaby grozić ruina.

Pod tym względem uspokoił się jednak pan Stockford. W deponowanym u notarjusza testamencie, czynił pan Meeding jedyną spadkobierczynią swą żonę, Alicję, z wyraźnem tylko zastrzeżeniem, iż majątkiem po nim pozostałym, miała ona wyłącznie zarządzać. W danym razie mogłoby to było być nie na rękę panu Stockfordowi, dzisiaj jednak prawo samo oddało mu zarząd tego majątku, skoro spadkobierczyni była pod zarzutem zbrodni.

I prawne formalności wkrótce się skończyły. „Zabójczyni nieodszukalna“ — zawiadamiał obcy sąd, cóż więc angielski kolega mógł na to innego poradzić, jak złożyć także sprawę do aktów.

Zostawał przecież zawsze Jonatan Enders!

Ale czas już zapoznać nam się bliżej z panem Jonatanem.

Dom bankierski Stockford, Meeding & Comp. posiadał warstaty budowy okrętów. Jak zwykle w tego rodzaju fabrykach, budowano nie tylko nowe, lecz przyjmowano też do naprawy stare i zepsute statki. W tym ostatnim szczególniej dziale, fabryka dokonywała nieraz istnych cudów. Słusznie też czynił pan Stockford, gdy dla własnej potrzeby nie budował nigdy nowych okrętów, lecz skupywał stare za bezcen i takich tylko używał. Zdarzyło się wprawdzie, iż kilka z tych statków zatonęło, lecz było to winą burzy a nie ich wadliwej konstrukcji. Wykazały to zresztą badania sądowe, oparte na zeznaniach ludzi, którzy ocaleli czasem z takiej katastrofy. Dom bankowy, który ubezpieczał zawsze statki, nie tracił nigdy na tem, ale też i hojnie wynagradzał wdowy i sieroty po ofiarach. To też opinja publiczna, nie miała dość słów na wyrażenie pochwał dla szczodrych dawców.

Po jednej z ostatnich katastrof, zaszło jednakowoż pewne nieporozumienie pomiędzy panami Stockford i Meeding z jednej, a oboma i prawem z drugiej strony. Jedno z towarzystw ubezpieczeń, który już po raz wtóry musiało wypłacić olbrzymią premję, poruszyło wszelkie sprężyny, ażeby zwalić zatonięcie okrętu na jego wadliwą konstrukcję.

Komisje, protokoły, badania, ciągnęły się bez końca. Oglądano warstaty i statki, bądź nowe, bądź odnowione, wypytywano ludzi, czyniono nawet próby z okrętami. Wszystko to jednak niedoprowadziło do żadnego ujemnego rezultatu, a dom bankowy przeszedłszy bez szwanku tę próbę ogniową, stał się w opinji czyściejszym i silniejszym niż przedtem.

Tylko w domu poszło gorzej.

Pan Meeding wypowiedział kapitały.

— Dla czego? — pytał zdumiony Stockford.

— Bo mi ich potrzeba do innego użytku — odparł zimno wspólnik i wyszedł.

A pan Stockford znał go doskonale i wiedział, że

słów swych nie cofał nigdy. Wiedział też równie dobrze, że gdy historja ze statkiem grubo go kosztowała, a przytem poniósł świeżo, na własny rachunek, znaczne straty na giełdzie, usunięcie się pana Meeding, a raczej jego kapitałów, groziło mu zupełną ruiną.

Położenie było rozpaczliwe! Skruszyć zaś pana Meeding, to zaprawdę łatwiej by było wzruszyć ziemię z jej posad.

Pan Stockford był blizkim.... Przecież na wszelki wypadek jedna z tajemnych szuflad biura, kryła wyborny rewolwer!.. Właśnie uporządkowawszy papiery, sięgał poń ręką, gdy z błyskawiczną szybkością przeleciał mu przez myśl plan ratunku. Plan ten zaś wydał mu się tak wybornym i pewnym, że zamknął napowrót szufladę, uśmiechnął się, zatarł ręce, a podumawszy chwilę, opuścił szybko biuro i udał się wprost do domu.

Wiadomą jest rzeczą, iż każdy śmiertelnik, choćby nawet pan Meeding, ma swą słabą stronę, czyli tak zwaną piętę Achillesową. Cała tylko sztuka wykryć ją, bo potem zwycięztwo już łatwe.

Otóż pan Meeding w młodości i teraz pomimo skończonej dawno pięćdziesiątki, przepadał za piękniejszą połową rodu ludzkiego, a ładna kobieta była jedyną jego słabą stroną. Nie ożenił się, gdyż o ile był stałym w kwestjach pieniężnych, o tyle był zmiennym w afektach. Zresztą powiedzmy prawdę: kupował za złoto, które cenił, serca, któremi gardził. Sam libertyn w najwyższym stopniu, nie znał i nie cenił kobiety, jako kobiety, lecz jako proste choć drogie narzędzie, służące mu do jego jedynej ulubionej rozrywki.

Raz tylko w życiu obudziło się w nim coś jakby głębsze uczucie. Lecz może to było tylko wynikiem oporu, jaki stawiła kobieta.

Była nią pani Stockford.

Gdy umarła, pan Meeding pokochał, jeżeli nam wolno wyrażać się o nim w ten sposób, otóż, niby pokochał, a raczej przeniósł swoje uczucia na jej córeczkę Alicję. Nie mające wówczas dwanaście lat dziewczę, nienawidziło go, a później gdy dorosła, czuła doń formalną odrazę.

Podwójny ten opór, mówimy podwójny, gdyż pan Meeding opór matki zespalał z niechęcią córki, drażnił go w najwyższym stopniu. Doszło zaś w końcu do tego, że nie mogąc inaczej, postanowił ożenić się z Alicją.

Ojciec nie odpowiedział ani tak, ani nie. Córka za to oświadczyła, iż wolałaby raczej pozbawić się życia!

Jednem słowem pan Meeding dostał kosza. Nie czynił jednak żadnych wyrzutów wspólnikowi i wkrótce zdawało się, że całkiem o tem zapomniał.

W rok później oświadczył się o rękę Alicji najmłodszy wspólnik, a zarazem pełen nadziei młody kapitan okrętowy, pan Jonatan Enders i został przyjęty.

W czasie tym zaszła jednak owa katastrofa, po której pan Meeding wypowiedział kapitały.

Mówiliśmy, wracając do pana Stockforda, że podążył szybko ku domowi. W pół drogi, zwolnił jednak kroku, a po zasępionej twarzy można było poznać, iż po bliższem zbadaniu planu ratunku, nie wydał mu się bądź tak dobrym, bądź tak łatwym do przeprowadzenia. Widocznie bowiem wahał się.

Może uczuł jakieś skrupuły, wyrzuty sumienia... może... lecz trudno to wiedzieć, jakie myśli zaprzątały głowę bankiera. To jednak pewne, że zwalniając coraz kroku, w końcu stanął, przez chwilę zdawał się namyślać, a potem zwrócił się szybko napowrót ku bankowi.

Kazał prosić pana Endersa.

— Jako dla wspólnika, a zarazem przyszłego zięcia, nie mam dla pana tajemnic. Otóż żądany przez pana Meedinga zwrot kapitałów, jest dla nas w tej chwili ruiną.

— I nie ma ratunku? — zawołał młody człowiek, myśląc jedynie o ukochanej Alicji, którą cios ten najwięcej by dotknął. Przyzwyczajona do zbytku, czyż potrafiłaby znieść więcej jak mierność, bo może niedostatek!... Piękna i wyrażająca samą szczerość i otwartość twarz młodzieńca, pokryła się śmiertelną bladością.

— Jest ratunek — odparł bankier.

— Mów pan!...

— Jedyny, a zależy tylko od pana — wycedził szef domu Stockford, Meeding & Comp.

— Odemnie? a więc wygrana! — zawołał Jonatan z rozpogodzonem obliczem. — Mów pan tylko, co mam uczynić?

— Wedle umowy, kapitały dziś wypowiedziane — mówił bankier — mają być zwrócone po upływie sześciu tygodni. Otóż mielibyśmy tyle czasu do ściągnięcia potrzebnej gotówki.

— To aż za wiele — przerwał Jonatan.

— Gdyby była — odparł pan Stockford. — Niestety, w tej chwili mamy tylko towary.

— Cóż łatwiejszego jak je sprzedać?

— Towarów tych nie ma w naszych magazynach. Są bądź w drodze, bądź w Indjach.

— Więc sprzedać faktury!...

— Faktury sprzedają tylko bankruci! Lecz posłuchaj mnie pan. W Bombay leżą na składzie towary, które gdybyśmy tu je mieli przed upływem terminu, moglibyśmy nie tylko zaspokoić pana Meeding, lecz i uzyskać znaczny zapas gotówki.

— A nie ma tam żadnego naszego statku?

— Niestety nie ma i o to właśnie pańskie zadanie. Mamy statek w pogotowiu, jedź pan i wracaj przed terminem, a wygraliśmy!

— »Himalaya“? — zapytał młodzieniec.

— Tak! — odparł krótko bankier.

— Ależ to statek...

— Bieżący dwadzieścia węzłów na godzinę! — dodał szef domu. — Zresztą, jak pan sądzisz!...

— Pojadę!... — rzekł Jonatan po chwili namysłu.

— Zarządź pan co potrzeba, pójdę tylko pożegnać pannę Alicję.

Czegoż by dla niej nie uczynił!

Na drugi dzień „Himalaya“ pędził z szybkością dwudziestu czterech węzłów ku Indjom.

Co dalej się stało, każdy się domyśli. Statek rozbił się, przyczem zginęła cała załoga wraz z kapitanem, a w pół roku po tem, Alicja więcej umarła jak żywa, ratując ojca, oddała swą rękę panu Meeding. Zaraz po ślubie wyjechano nie do Włoch lub Szwajcarji, ale ku Syberji. Zmrożone serce biednej ofiary szukało nie słońca lecz cieniu!...

Gdy znamy teraz historję pana Jonatana Endersa, czyż możemy się dziwić przestrachowi, jaki ogarnął bankiera na wiadomość, iż zjawia się jak upior, ażeby go trapić i zgnębić.

To też pędził do Londynu, ażeby jako dobry strategik ubiedz stanowisko i przygotować się do walki. Nie wątpił bowiem, że pan Enders mu ją wyda.

Tem bardziej się więc tylko uląkł przeciwnika, gdy dzień po dniu mijał, a on nie jawił się wcale. Wiedział zaś, że Jonatan powrócił już do Londynu i nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Gdy ostygł z pierwszego wrażenia na wiadomość o nieszczęściu córki i szczególniej, gdy się dowiedział o testamencie p. Meedinga, bankier począł się mniej obawiać Jonatana.

— Zresztą — myślał — może się teraz ożenić z Alicją, bo pewnie ją jeszcze kocha... A w najgorszym razie mam teraz w ręku potężne środki bronienia się... i potrafię się obronić!

Pomimo tego jednak pan Stockford bał się wyjechać z Londynu, choć czuł, jeżeli już nie sercem, to rożumem, iż powinien był się udać do obcego miasta i zająć się wyszukaniem swej córki.

— Ukryła się i wkrótce przyjedzie — pocieszał się.

Po upływie tygodnia, nie mógł już przecież wytrzymać i postanowił pojechać. Na dworcu jakiś człowiek podał mu bilet tej treści:

„Niechaj pan Stockford nie waży się wyjechać, gdyż cały Londyn będzie jutro wiedział, co się stało ze statkiem „Himalaya“! Jonatan“.

Bankier wrócił, a posłał tylko zaufanego sługę.

II.

Pan Zander, „wyszukiwacz zaginionych rzeczy“, oddawał się za młodszych swoich lat innemu zajęciu, mianowicie bywał angielskim dżokejem, przy nie angielskich koniach. Choć więc z czasem i po przejściu różnych a przeróżnych kolei, — nieraz na wozie, lecz częściej pod wozem — stał się w końcu tem, czem go dzisiaj widzimy, to przecież „żyłka koniarska“ nie zatarła się i pan Zander powtarzał często, że obcowanie ze szlachetnymi czworonogami, było mu stokroć milsze, niż obecne jego nawet dość zyskowne rzemiosło.

Nic więc dziwnego, że zawsze przypatrywał się z zajęciem, ile razy gdzie zobaczył ładnego wierzchowca lub dobrze dobraną czwórkę. Właśnie i teraz, zatrzymał się tuż koło znajomego nam hotelu, podziwiając postawę i ruchy pięknego arabczyka, prowadzonego wytrawną ręką pana Augusta. Że przytem znał jeźdźca, i wiedział, iż tak kosztowny koń, nie rymował ze stanem jego finansów, był podwójnie zaciekawiony.

— Zkąd on do licha przyszedł do takiego konia — mruczał — i po co tędy na nim paraduje?...

Pan August, nie zadawalniając się przejechaniem ulicy, powracał, zmuszając konia do przedziwnych lansad i skoków. Zander, którego rzemiosło wymagało, by nad każdą rzeczą dokładnie się zastanawiać, począł śledzić uważnie ruchy jeźdźca. Spostrzegł też wkrótce, że spoglądał głównie ku oknom pierwszego piątra, jednej z sąsiednich kamienic.

— A co to pan Zander widzi tak ciekawego? — zapytała w tej chwili Rózia.

Wyszukiwacz, który był jej raz pomógł w bardzo niemiłej sprawie, posiadał wielką sympatją subretki.

— Ot patrzy człowiek przed siebie! Ale ładny konik! prawda panno Róziu?

— Nie znam się na tem.

— A kto to tam w oknie, tak się kłania jeźdźcowi? — pytał dalej Zander z nawyczki, gdyż znał doskonale p. Amadeusza.

— Kto?... Niech no pan Zander nie udaje. Przecież znają tu wszyscy pana S. i jego córeczkę.

— Aaa! ma córeczkę?

— Niby też to pan nie wie!... Może pan i tego nie wie, po co ten pan na koniu tak tędy jeździ ciągle? — drwiła pokojówka.

— Naturalnie, że nie wiem — odparł Zander tonem tak szczerym, że Rózia zawahała się w swoim o nim sądzie.

Powoli, przeskakując ze zręcznością kota z przedmiotu na przedmiot, pan Zander dowiedział się od Rózi, czego chciał, a pogadawszy jeszcze o tem z portjerem, skierował się powoli ku mieszkaniu Gustawa.

Wicuś był zajęty sprzątaniem. Musiał zaś być w bardzo złym humorze, gdyż ciągle coś pomrukiwał, i zrzędził sam na siebie.

A miał słuszne powody do zmartwienia! Wczoraj pani czyniła mu wyrzuty, a dzisiaj zaś, gdy zagadnął Gastona w sprawie angielki, przypominając mu jakiś szczegół z jej pobytu w domu, ofuknął go panicz surowo, jak jeszcze nigdy nie bywało i dodał:

— Jeżeli nie chcesz, ażebym cię odesłał na wieś, to staraj się myśleć i mówić o rzeczach, które do ciebie należą! Do moich zaś spraw nie waż się wtrącać odtąd ani słowem!

Sługa począł się tłumaczyć.

— Ani słowa więcej — przerwał pan. — Taka jest moja wola, a radzę ci zastosować się do niej!

Poczciwy Wicuś osłupiał. Tak to więc przemawiał do niego jego ukochany panicz, którego wypiastował na swoich rękach!

Tak mu się więc odwdzięczano za tyloletnią wierność i przywiązanie... monologował w duszy starzec,

ocierając ukradkiem łzy, których powstrzymać nie był w stanie.

Długo, długo, nie mógł się uspokoić. Na razie chciał dziękować za służbę. Lecz gdy Gustaw wyszedł i Wicuś mógł głośno wynurzać swoje żale, tak się sam swojemi słowami rozognił, że zapominając o pierwszym planie, postanowił na złość panu Gustawowi, pozostać nadal u niego w służbie. W każdym jednak razie tak ważne zdarzenie nie mogło przejść na sucho.

Starowina w chwilach nadzwyczajnych, bądź smutku, bądź radości, szukał pociechy w szklaneczce. Zdarzało się to wprawdzie nader rzadko, gdyż mało było wypadków niezwykłych... ale zawsze się zdarzało... a i dzisiaj, potrzeba było tylko towarzystwa. O to jednak nigdy nie trudno na tym bożym świecie.

— A pal licho wszystkie angielki! — zakończył właśnie Wicuś jakiś dłuższy monolog, gdy dał się słyszeć w przedpokoju głos dzwonka.

— Kto tam?... — zapytał głosem wcale niezachęcającym.

— Ja — brzmiała krótka odpowiedź.

— Co za ja?

— No ja, garson z hotelu, przynoszę list od pani.

— To co innego — mruknął Wicuś otwierając drzwi, któremi wsunął się cichutko i delikatnie pan Zander.

— Sługa pana Wincentego.. pan Wincenty się dziwi, że ja go znam... a pan Wincenty mnie nie zna... Ha! ha! ha! prawda? prawda?... A no nic dziwnego... stanąłem na służbę dopiero dzisiaj... Ale mi tam pan Józef zaraz powiada: — A znasz ty Wincentego? A ja na to: jakiego? Bo powiem prawdę... znam trzech Wincentych. Jeden, to jest za furmana... zaraz... zaraz... tu, o tu niedaleko...

— Może ten od pana Z. — dopomagał Wicuś, któremu ten rozmowny, o poczciwej choć trochę gapiowatej fizjonomji kolega, dosyć się podobał.

— Ha! ha! ha!... ten... ten... ten sam — zawołał garson — ten sam... A drugiego Wincentego... to... to niby nawet trochę swat... to on jest braciszkiem u kapucynów... Ee... to święty człowiek — dodał z nabożeństwem.

Znudzilibyśmy czytelnika, gdybyśmy chcieli przytoczyć tu dalszą ich rozmowę. Nadmienimy tylko, że garson hotelowy nie chciał się ustąpić, dokądby nie „trącił się“ z czwartym najzacniejszym i najlepszym ze wszystkich Wincentych.

Że zaś Wicuś był już ku temu usposobiony, nowi przyjaciele usadowili się wygodnie w niedalekiej restauracyjce i wychylając szklaneczkę po szklaneczce, poczęli się spowiadać z tajemnic, jakie kryły ich serca.

Okazało się, że nowy garson nie był tak ograniczony jak się na razie wydawał. Ku największemu bowiem zdziwieniu Wicusia, opowiedział mu całą historję z angielką, ze szczegółami, o których starowina sam nie wiedział. Ponieważ zaś opowiadanie garsona, szczególniej w kwestjach dotyczących pobytu nieznajomej w domu Gustawa, nie zupełnie zgadzało się prawdą, Wicuś uznał za stosowne prostować jego zapatrywania.

— A ciekawa rzecz, co też pan Gustaw zrobił z tym pierścionkiem?

— Nie pan Gustaw go ma, tylko ja! — poprawił Wicuś.

— A ja myślałem, że pan Gustaw — odparł obojętnie garson i począł mówić o czem innem.

Gdy w końcu obaj przyjaciele uczuli, iż przyjaźń ich została już uświęcona dostatecznemi libacjami, pomyślano o odwrocie.

Naturalnie garson odprowadził Wicusia aż na górę. Tutaj przypadkowo poczęła się znowu rozmowa o angielce, potem o pierścionku.

— Musi być djabelnie ładny — mówił garson.

— Macie rację, mówiąc djabelnie — odpowiedział Wicuś, który już z trudnością wymawiał wyrazy. Dodał zaś po chwili: — Błyszczy jak szatańskie oczy!...

— Albo ja tam widział kiedy szatańskie oczy! — zaśmiał się garson.

— A no, to popatrzcie się na to djabelstwo, to i zobaczycie, jak bies świeczkę ludziom pali!

Domówiwszy zaś tych wyrazów, wydobył z jakiejś szkatuły, po długiem szukaniu pierścień, i pokazując go garsonowi dodał:

— O! aż się człowiekowi robi ciemno w oczach od tego blasku!

— Nie... nie tak bardzo — odparł garson, biorąc go do ręki i wpatrując się weń zaiskrzonem okiem.

Po dobrej chwili dodał:

— Tak, macie rację, pali bestja!... Niech tam idzie do nory!

To mówiąc rzucił go do szkatuły, a Wicuś słyszał tylko głuchy odgłos, jaki sprawił, padając na drewniane jej dno.

— A co, nie mówiłem? — zawołał tryumfująco, zamykając szkatułę.

— O! mieliście słuszność! — potwierdził garson. — Taki kamień, to djabelski wymysł, pali człowiekowi i oko i rękę... Lepiej niech tam leży w tej skrzyni.

Pogadawszy potem jeszcze trochę ze starcem, pożegnał go czule i wyszedł.

O liście do pana Gustawa zapomniano. Na ulicy, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, pan Zander wyprostował się, odetchnął i podążył naprzód szybkim krokiem.

Za chwilę dobywał się do pomieszkania lekarza P. Stara służąca wyszła z wiadomością, że lekarza nie ma.

— Moja pani — rzekł Zander z westchnieniem — moja dobra pani, ja muszę się widzieć z panem doktorem.

— Kiedy go nie ma! Chyba aż przyjedzie!

— Zaczekam więc — odparł agent, wsuwając się prawie przemocą do pokoju, ku wielkiemu przestrachowi kobieciny.

— Ależ nie ma co czekać... pan powróci może aż za kilka dni...

Pan Zander nie odpowiedział nic. Zamknął jednak za sobą drzwi, a zbliżając się do wylęknionej sługi, popatrzył na nią przeciągle, machnął ręką i usiadł wygodnie na kanapie.

— Jak pan zaraz nie wyjdziesz, zawołam o pomoc! — odważyła się służąca.

— A wołaj pani! Kto ma pilny interes do lekarza, ma prawo nań czekać.

— Są inni lekarze — tłumaczyła staruszka, nie spiesząc się wcale z wołaniem na alarm.

— Zapewne, ale ja potrzebuję właśnie doktora P. a nie innego. Czemuż pani nie wołasz o pomoc? — dodał po chwili drwiąco i zamilkł.

Na twarzy staruszki malował się wielki niepokój. Patrzyła wylękłem okiem to na nieznajomego, to na drzwi, prowadzące do dalszych pokoi.

Była jakby na torturach, ale milczała również uporczywie.

W końcu jednak odezwała się łagodnie:

— Ale czego pan chcesz właściwie?

— Tak, to rozumiem — odparł Zander wstając.— Chcę, żebyś pani zaniosła panu doktorowi, tę oto karteczkę.

— Kiedyż go nie ma — opanowała starowina.

— Jest — rzekł krótko agent.

— Chyba nie wiem... popatrzę...

— Tak, ale weź pani tę karteczkę i ten pierścionek, i jeżeli jest, to mu to oddaj.

— Chyba kominem wszedł do mieszkania — terkotała staruszka, biorąc podane jej rzeczy. — A jeżeli go nie ma?

— To zostaw to pani na biurku.

— Ale pan pójdziesz już sobie? — pytała dosyć niegrzecznie.

— Jak tylko pani powrócisz z odpowiedzią.

— A, to jakiś szatan — mruczała kobiecina wychodząc.

Ledwie się drzwi za nią zamknęły, Zander poskoczył ku nim, przyłożył ucho i posłuchawszy chwilę, wybiegł szybko z pokoju.

Udał się prosto do Gustawa.

Wicuś spał jak zabity, a drzwi otworzył mu sam Gustaw.

Gdy Wicuś posłany na drugi dzień do hotelu, pytał tam za swoim nowym przyjacielem, wypatrzyli się nań wszyscy jak na obłąkanego. Od kilku lat nie przyjęto tam żadnego nowego sługi.

Wicuś wytłumaczył się jak mógł, lecz biegł do domu z bijącem sercem. Otworzył prędko szkatułę... i jęknął. Na jej dnie, zamiast kosztownego pierścienia, leżał mały pieniążek miedziany.

— E!... może tak i lepiej! — rzekł po chwili do siebie. — Już tam ten kamień nie przyniesie nikomu szczęścia!

(Ciąg dalszy nastąpi).

CHOINA.

O witaj ty mi zielona choino,
Dalekich wspomnień ty świadku uroczy,
W twoich światełkach utopiłem oczy,
Jakbym był jeszcze tą małą dzieciną,
Co do twych cacek śmiała się choino!...

Dzisiaj, ja ciebie pytam zasmucony,
Kędy te lata i ten domek kędy,
Gdziem śpiewał jeszcze dziecinne kolendy,
I anim marzył że rzucę te strony,
Kędy się pień twój rozwinął zielony...

Choinko moja, tyś jak ludzkie życie —
Cackami marzeń w koło obwieszona, —
Serce się ku nim wciąż wyrywa z łona,
Ku światłom, niby ku gwiazdom w błękicie,
Aż je powoli wszystkie zgasi — życie...

I potem stoim z posmutniałą twarzą
Przed marzeń własnych odartą choiną
I łzy nam żalu ciche, rzewne płyną,
Jako tym dzieciom, co o drzewku marzą
Po świętach jeszcze, i smutnie się skarżą...

Choinko moja, blaskiem marzeń złota,
Ze wszystkich świateł, co na tobie płoną —
Jedno jedynie z gałązką zieloną
Zachowaj ty mi na resztę żywota,
Bo mi do życia odpadnie ochota...

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

1. stycznia.

„Skończył się rok fatalny'... smutnym będzie ten, który się zaczął, jak smutną i bezbarwną będzie cała przyszłość moja. Zdaje mi się, iż kroczę w ciemnościach, które nigdy rozjaśnić się nie mają. Dotąd cieszyłam się dniem Nowego Roku jak dziecko. Od dziś będzie on tylko przypomnieniem dat nieszczęsnych. Cóż mi życzyć mają? Komuż mam oddać skarb uczucia, które w rzewnych, z serca płynących wyrazach, ofiarowałam dnia tego ojcu najdroższemu, poczciwemu, rozpieszczającemu mnie stryjowi? Ranek dzisiejszy spędziłam na modlitwie, pomiędzy grobami!... A jednak wróciwszy miałam chwilę zapomnienia, rodości niemal. Mały Sasza przyszedł odgadać jak sroczka wyuczona,

swoje życzenie rymowane, i zabrać przeznaczone dla niego zabawki. O! jakaż to roskosz czysta, niewinna, pieszczoty dziecięce! Nawet wymagania starań nieustannych, takiego małego tyrana domowego, byłyby dla mnie szczęściem niezrównanem! Gdybym była na miejscu Olgi, u mego syna szukałabym pociechy, zapomnienia, a nie w czczych rozrywkach światowych. Kocha go bardzo, to pewna, nie dość jednak wyłącznie, nie dość z bliska. Przyznała mi się. że gdy się miał urodzić, bała się... straszono ją... że kibić jej się popsuje, że włosy wypadną. Nie chciała go nawet karmić sama. Odtąd rozwinęło się w niej i spotęgowało uczucie macierzyńskie, ale mnie się zdaje, że jeszcze za mało. Nie wystarcza zajmować się dzieckiem kiedyś, niekiedyś; powinno mu się poświęcać dni i nieledwie noce całe. Oh! jak ja to czuję głęboko! Jakaż to nagroda widzieć to dziecię rozwijające się pod naszem okiem fizycznie i moralnie. Nie będę matką niestety, zdaje mi się jednak (choć się chwalić nie lubię). że Sasza zyskał wiele, odkąd ma mię za ciocię... bo tak mię nazywa śliczny aniołek, tym swoim lubym, srebrzystym głosikiem, pieszcząc i całując bez miary. Wyprosiłam sobie, że mi go zostawiają, skoro matka wizyty oddaje lub przyjmuje. A dużo takich godzin przez dzień się znajdzie, chociaż Olga ma reputację matki najtroskliwszej, pomiędzy damami wielkiego świata. Przechadzamy się razem z malcem, bawimy, uczymy po trochę, i ja bawię i kształcę się obok niego. Rzecz niepojęta, jak takie małe dziecię może już wiele myśleć, zgadywać i pojmować. A jak się przywiązuje do tego, kto go kocha, i niem szczerze jest zajęty! Sasza myślałby, że jest na pokucie, gdyby mnie dnia którego nie odwidził. Matka jest o niego niemal zazdrosną i postanawia wydrzeć mi go, naśladując mię w rozpieszczaniu (jak się wyraża) stając się według mojego wzoru niewolnicą dzieciaka! Dążę więc do celu, chociaż drogami ubocznemi. Nawrócenie postępuje szybszym krokiem, niż mogłam się spodziewać.“

15. stycznia.

„Nie jest to rzeczą arcyciekawą, wpływ, jaki wywieram na kobietę o tyle wyższą odemnie? Jestem wielce dumną z tego. Pan de Vésore wymawia mi często, iż wkrótce, za moim idąc przykładem, Olga będzie się jak kwakierka ubierała, będzie fiakrem tylko wyjeżdżała, aby szukać ubogich po piwnicach i poddaszach. Dzięki Bogu! daleko nam jeszcze do tych przesadzonych doskonałości, to jednak pewna, że zażyłość rośnie między nami, i że dla tej przyjaźni poświęca nieraz jakąś błahą rozrywkę światową. Lubi wpaść do mnie po obiedzie, gdy haftuję obok miss Ruth, lub dumam samotna przed kominkiem. Gawędzimy o wszystkiem, nietykając tylko jednego przedmiotu... Posiada wiele taktu. Nie tak, jak biedny hrabia de Sénonnes, który ile razy mnie widzi, miota na syna przekleństwa najstraszliwsze, jakby to miało być ulgą w mojem opuszczeniu!... A może tylko dla tego, że moja osoba przypomina mu, że ten jedynak stracony na zawsze! Żal mi go serdecznie, ale jest dla mnie nieznośny! Pani de Vésore nie będzie nigdy natrętną i niezgrabną, chociaż czasem wiele sobie pozwala... Raz wieczorem naprzykład, gdy mnie tak zeszła niespodzianie, zobaczyła Revue na kominku, otwartą na pewnej stronnicy — nic nie ujdzie przed jej krótkim wzrokiem — do której pisuje zwykle jej kuzynek, i urwała w pół frazes bez znaczenia, którym była pogadankę rozpoczęła. Nie okazała jednak zdziwienia, i z całą przytomnością umysłu, przechodziła od jednego artykułu do drugiego (czytała również ten zeszyt) i zaczęła mówić o pracy Marka Seweryna. Krytykuje ostro dążność pesymistyczną, którą zdradza coraz więcej przy każdej sposobności, utrzymując, iż co do niej, woli aby jej autor przedstawiał ludzkość zdrową, jędrną, nawet w uniesieniach namiętnych, niż jej wrzody chorobliwe; woli w hafcie wierch gładki, niż wywrót chropowaty i niewyraźny. Nie godzi się ograniczać studjów nad społeczeństwem, wykazaniem, na jak kruchych podstawach, na jak fałszywych i ułudnych zdaniach, spoczywają prawa, instytucje polityczne, cały układ społeczny, cała moralna świata tego równowaga. Systemem podobnym podkopuje się do reszty i tak słabe podwaliny. Dla czego raczej nie wykazać, gdzie szukać na to zło lekarstwa?

— A jeżeli nie widzi lekarstwa? — odpowiedziałam. — Jeżeli jako badacz sumienny, daje nam tylko wierny obraz społeczeństwa, tak, jak się jemu przedstawia?... Obraz ten na wskróś przejmuje, chociaż koloryt jest może trochę za dziki, za ponury... Co do mnie, odkrywam w nim bądź co bądź wielkie piękności.

Koniec końców zaczęłam bronić jednego ustępu, który Olga najostrzej potępiała. I teraz nie zdziwiła się bynajmniej. Ma umysł nadto rozwinięty, aby tego nie pojąć, że nasze upodobania w literaturze są niezależne od wszelkich osobistych namiętności, od uraz i krzywd nam wyrządzonych. Odtąd rozmawiamy nieraz o Marku Sewerynie, jakby tenże nie miał nic wspólnego z panem Gastonem de Sénonnes. Olga utrzymuje jednak zawzięcie, że autor jest na złej drodze, że wkopuje się w jakieś ganki podziemne, jak górnik drąży pieczarę, wraca ztamtąd atoli ze smutkiem coraz rozpaczliwszym, nie znalazłszy ani okruszyny złota, ani blasku djamentowego w tych wiecznych ciemnościach. W pracach jego najbardziej genjalnych, brakuje powietrza, światła, życia jednem słowem!

Kiedyś tu nie mogłam wstrzymać się z odpowiedzią: — że aby pisać jasno, trzeba myśleć zdrowo i jędrnie, a takie myśli, o ile mnie się zdaje, przychodzą tylko komuś, który żyje spokojnie i jest ze siebie zadowolonym. Może się mylę, ale muszę w to wierzyć, iż tak autor, jak artysta, odźwierciadla w swoich dziełach stan, w jakim się duch ich znajduje.

— W takim razie — rzuciła od niechcenia Olga — duch Marka Seworyna potrzebował by zmiany radykalnej w karmieniu się dotychczasowem. Pokarm, któ-

rym się żywi, nie służy mu widocznie. To zresztą wypływa również z rozmowy, którą miał o nim Alberyk z dobrym znajomym, panem Maksem Henrion'em... Za mało cię jednak obchodzi życie prywatne autorów, abyś chciała zgłębiać ich tajemnice, nieprawdaż? — dodała nagle urywając.

— Z pewnością! Życzę sobie nawet bardzo, więcej o tem nie słyszeć — odpowiedziałam.

Zaczęła natychmiast mówić o czem innem."

1. luty.

„Co też przecie pan Henrion mógł o nim powiedzieć?....

. . . .

Gdyby Alina była mniej dumną i mniej w sobie zamkniętą, gdyby była to pytanie zadała hrabinie Oldze, zamiast chować je pod klucz do książki, oto co by się była dowiedziała, prócz kilku szczegółów nic nie znaczących, tyczących się wyłącznie osoby pana de Vésore, o których wolał przed chwilą zamilczeć. W salonie pierwszorzędnej artystki dramatycznej, która od niedawna przykuła Alberyka serce motylkowate do swojego rydwanu, i nawet zmusiła do czytania jej głośno Szekspira (a był to trud niej mały, ale i hołd jej złożony, gdyż przeważnie jego bohaterki przedstawiała) pan de Vésore spotykał literatów, między innymi i Maksa Henrion'a. Uderzyło go to nazwisko, które niegdyś Gaston często wspominał, a chęć dowiedzenia się czegoś o kuzynie, który od czasu poróżnienia z rodziną milczał uparcie, co w końcu szczerze bolało Alberyka, zmusiła go do zapoznania się bliższego z człowiekiem z innej zupełnie sfery. W warunkach zwyczajnych, byłby z pewnością otarłszy się o Maksa przypadkowo, ani ust do niego nie otworzył. Henrion nie odznaczał się zbytnią dyskrecją, a w tym nawet razie zdawało mu się, iż zdradzając tajemnicę, działa w interesie przyjaciela. Mówił więc otwarcie o smutnem położeniu Gastona — o sekret nikt go zresztą nie prosił — wspomniał, że przeszłej jesieni, podczas wakacji zwiedzając Włochy, zboczył umyślnie z drogi, aby odwidzieć Gastona w małej mieścinie, gdzie stale zamieszkał, i zkąd wysyłał artykuły do dzienników, których łamy, dzięki wpływom Henrion'a, stały dla niego otworem. Przekonał się zatem naocznie, czem było to wielkie szczęście, dla którego Gaston wszelkie inne dobra poświęcił.

— Wierz mi hrabio — rzekł poufale — że najmędrszem jeszcze jest nasze postępowanie. Igrać z miłością, to rozumiem, ale brać ją na serjo, niech Bóg broni! Jakąż smutną komedję odgrywa kochanek nieszczęśliwy, w takim związku fałszywym, gorszym stokroć od małżeństwa najmniej dobranego, skoro raz przestał kochać, jego zaś niestety kochać nie przestano. A tego nie można uniknąć... Kobieta przywiązuje się każdą ofiarą, czy ona takową przynosi, czy od kochanka odbiera. Osądź tedy hrabio stopień miłości pani d'Herblay i zadrżyj.... Słodycz nieznośna tego despotyzmu, odbiera Gastonowi resztę niezależności; zaledwie wolno mu odetchnąć na chwilę, pod pozorem pracy, niezbędnej do życia. Ma się rozumieć, że sam tego nie przyznaje, że mi się z niczem nie zwierzył i na nic nie poskarżył, widziałem jednak na własne oczy i ośmieliłem się nawet wypowiedzieć otwarcie, iż go uważam za człowieka najnieszczęśliwszego pod słońcem. Nie można tego osądzić na pierwszy rzut oka. Mieszkają wygodnie, w pięknej okolicy, Gaston pracuje w zawodzie, dla niego najprzyjemniejszym i w którym ma wielkie powodzenie, ona chociaż bardzo zmieniona i zwiędła, jest dotąd zjawiskiem uroczem, ale taka podejrzliwa, Boże wielki! Podejrzliwą, wymagającą i wiecznie smutną, będzie zawsze kobieta uczciwa, która nią być przestała, i która nie może mimo chęci najlepszych, odegrać rolę awanturnicy, śmiało, wesoło, bezczelnie, czego rola podobna żąda koniecznie! Cierpi, skoro ktoś trzeci wciśnie się bodaj na chwilę pomiędzy nich dwoje, a nie chce uważać, że taka samotność zabija na duszy i ciele nieszczęśliwego skazańca... I moja obecność była jej uciążliwą; przyjmowała mnie najgrzeczniej, była nawet uprzedzająca, a jednak żenowała się mnie najokropniej! Biedny Gaston był też rad, widząc nad wieczorem (przybyłem przed południem) że myślę o odwrocie; nie zatrzymywał mnie wcale. A tak się mną serdecznie ucieszył! Był jakby odmłodzony. Mógł przecie ze starym przyjacielem pogadać o czem innem, niż o miłości. Co za ulga! Pomiędzy nimi jedynym węzłem, jedynym wspólnym interesem jest miłość. Trzeba wiecznie obracać się w tem kole zaczarowanem, a z jaką uwagą, z jaką ostrożnością, aby nie potrącić o strunę drażliwą. Lada ziewnięcie, słówko niecierpliwsze, najlżejsze zaniedbanie, cień podejrzenia, wszystko tu coś znaczy i nie przebacza się nigdy! Gdy jedna tylko strona goreje takim głupim i namiętnym szałem, druga połowa musi się mieć okrutnie na baczności, musi wysilać wszelkie władze umysłowe, musi ćwiczyć się w sztuce udawania, aby zasłonić się od srogich wymówek, lub łez w cichości płynących, stokroć przykrzejszych od łajania najgłośniejszego. A potrzeba koniecznie, aby myśl Gastona przestała pracować w jednym kierunku; ma talent prawdziwy, może imię swoje unieśmiertelnić, nawet katastrofa, która życie jego zwichnęła — co znajduję na równi z tobą hrabio opłakanem — dopomogła do rozwinięcia jego zdolności naturalnych, do rozdmuchania iskry genjuszu. Czy nie zgaśnie atoli ten płomień boski, stłumiony nieznośnym przymusem? Już się błąkać zaczyna po bezdrożach jednostronności osobistej; nie umie mówić o czem innem, tylko o swojem ja umęczonem. Nie mogąc zwierzyć się nikomu poufnie z tortur doświadczanych, pod pokrywką fikcji bierze całą publiczność za powiernika ubocznego. I tu nawet pani d'Herblay rości sobie prawo do żądania rachunku i tłumaczenia z tych ustępów rozpaczliwych autora, jakby z obrazy osobistej. Ma zresztą słuszność w tym wypadku, ale na to on już nic nie poradzi. Ktoby go uwolnił od tego oka czarnego, wpatrującego się w niego bacznie i przenikliwie, które wyśledzi i nie

pominie najlżejszego czoła zmarszczenia, najlżejszego roztargnienia, policzy niemal każde westchnienie, ten by mu oddał nie lada przysługę! Zdziałałem ile mogłem. Przedstawiłem mu w obec pani d'Herblay — wiem że będzie odtąd moim wrogiem nieprzejednanym — przedstawiłem mu, iż interesa niecierpiące zwłoki, a tyczące się jego zawodu literackiego, powołują go do Paryża. Tym sposobem — pomyślałem — odpocznie z jakie pół miesiąca od zbytku szczęścia. Przeszła jesień atoli, a mimo solennej obietnicy, jakoś go nie widać.

— Eh! może w końcu nadjedzie — odrzucił Alberyk, który nie zrozumiawszy wprawdzie dokładnie tego, co mu się starał Henrion wytłumaczyć, bezustannie głową przytakiwał. — Racz mu pan powiedzieć, iż byłbym najszczęśliwszym zobaczyć go gdziekolwiek... u mnie, czy u niego. Nie potrzebuje obawiać się z mojej strony morałów. Wie, że nie umiem prawić kazań. Próbowałem go zatrzymać, skoro jednak fakt został spełnionym!... Na co by się zresztą wymówki przydały? Dość jest i tak ukarany. Przewidywałem to, czułem, że nie jest już zakochany w pani d'Herblay, wtedy, gdy się z nią wybierał... Zaiste! wszak to przeciwne naturze, kochać przez sześć lat tę samą kobietę! Pocóż atoli do krocset djabłów?!... No! nie chcę wszczynać żadnych oskarżeń. Zapewnij go pan, że z mojej strony jednej wymówki nie usłyszy... a radbym serdecznie dłoń jego uścisnąć... i na tem koniec.

Henrion obiecał wywiązać się z danego polecenia, jeżeliby cudem nadzwyczajnym, Gaston przybył do Paryża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogadanka.

A więc rok 1882 dopłynął już do portu.

Żegnamy go bez żalu, niemal z radością nawet, że stary ten nudziarz rozpłynął się w wieczności. Jużbo to co prawda, nie ma za czem żałować! Był on jakby nie dzieckiem swego wieku. Jakiś odwieczny antyk, wydobyty z magazynów czasu, nudził stary dziwak, w lecie raził zimnem, w zimie kazał brodzić wśród błota, i wreszcie dokończył dni swoich, nie uraczywszy nas niczem nowem, nie zamarkowawszy się w naszej pamięci żadnym ważniejszym wypadkiem.

Niech przeto odpoczywa w pokoju, bo powinniśmy mu zawsze być wdzięczni, że choć nie obdarzył nas niczem dobrem, i złem nas żadnem nie uraczył. My tymczasem wszelkie nasze różowe nadzieje zwróćmy ku nowemu, który może w swej torebce podróżnej ma dla nas jakąś niespodziankę. Wprawdzie niespodzianką jest i rózga, którą czasami św. Mikołaj zamiast cukierków pod poduszkę wkłada, lecz podobne niespodzianki zdarzają się tylko niegrzecznym dzieciom, do których my się naturalnie nie zaliczamy. Już to co się tyczy grzeczności, pochlubić się nią możemy pod [illegible] względem, tylko że jakoś na nas nie sprawdza się przysłowie, iż: „pokorne cielę dwie matki ssie,“ my raczej moglibyśmy powiedzieć, że: „pokorną krowę dwoje (oby tylko!) cieląt ssie!“

Lecz nie moja to rzecz mięszać się w podobne grzeczności i dla tego dam się unieść tym różowym nadziejom, których urzeczywistnienia spodziewamy się od świeżo narodzonego. Nie wiem łaskawy czytelniku, jakie tam w sercu nosisz nadzieje przy tym nowym roku, dla tego przyjmij odemnie tylko staropolskie: „Szczęść Boże!“ we wszelkich zamysłach, i to życzenie, by rok ten nie zawiódł Cię, jak tyle już, tyle innych...

Ale zejdźmy na weselszy temat, i zacznijmy od wiadomostek literackich i artystycznych. Ba! nie trudno to powiedzieć, lecz łatwiej w styczniu o poziomki, jak o podobne wiadomości na naszym bruku. *Dziennik polski* szczęśliwszy odemnie pod tym względem, bo zawsze wynajdzie jakąś nowalję w tym duchu. Ot, kiedyś nas uraczył kwiatkiem zakwitłym na tej niwie, i w rubryce wiadomości literackich i artystycznych doniósł nam, że „barytonista Sommer z opery wiedeńskiej nie chciał przyjąć roli przeznaczonej mu przez intendanturę w „Versprechen hinter'm Herd“ i z tego powodu przyszło pomiędzy nim i intendantem Hoffmanem do sprzeczki, wskutek czego tenże wskazał Sommerowi drzwi. Spiewak odgrażał się, a później przysłał sekundantów, ale wszystko skończyło się na przeproszeniu Hoffmana i Sommer został dalej członkiem opery.“ — Wszystko to bardzo pięknie i ładnie, lecz byłbym nadzwyczaj ciekaw, czy to jest wiadomość artystyczna, czy literacka? Może by mię szanowna redakcja *Dziennika*, jako niepoprawnego nieuka, łaskawie pouczyć zechciała. Że nie jest artystyczną, no to przecież widoczne, bo wskazanie komuś drzwi, a choćby nawet i wyrzucenie, nie jest rzeczą tak bardzo artystyczną. A że nie jest literacką... lecz może i słusznie... zapewne jakiś literat przyniósł tę wiadomość, a tem samem stała się wiadomością literacką!

Ja, jak mówię. jestem mniej szczęśliwy w otrzymywaniu podobnych wiadomości, lecz gdybym tylko wiedział, że n, p. w Pekinie na próbie jakiej sztuki, wypadła za kulisami fajka z kieszeni którego z aktorów, nie omieszkałbym Was zaraz o tem powiadomić. Niestety, z naszego teatru nawet Wam i takiej wiadomości udzielić nie mogę, bo oprócz poreperowania starej kurtyny, nic się tam uwagi godnego nie stało!

Kronika karnawałowa także milczy jeszcze dotychczas, a więc i ja najlepiej zrobię, idąc w jej ślady.

Kwik -kwak.

Z nowym kwartałem upraszamy szanownych czytelników o wczesne nadesłanie prenumeraty, dla uniknienia reklamacyj i uregulowania nakładu.

Przedpłata wynosi *we Lwowie i na prowincji:*
Rocznie 8 zlr. — Półrocznie 4 zlr. — Kwartalnie 2 zlr.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.